

Zespół J. Englerta na scenie POSK-u „Pan Tadeusz” z pocztówki

PRZEDSTAWIENIE jak zbiór żywych obrazów, jak przesuwające się przed naszymi oczyma kolorowe pocztówki ze scenami z sielskiego obrazu życia na Wiśniewie z 1812 roku, tuż przed rzekomo „polską” wojną ogłoszoną przez Napoleona. Parę foteli, stoł, nakrycia o deseniach nieco archaicznych jak na epokę „Pana Tadeusza”; obraz Matki Boskiej Ostrobramskiej zawieszony na czarnych kotarach; urodziwa Telimena (ciocie były w tych czasach nieraz całkiem młode); Zosia w płóciennym stroiku, w jakim Litwinka „nigdy nie bywa od mężczyzny widziana”, mężczyźni bądź to w strojach eleganckich panów z epoki romantycznej, bądź w czamarach, gdzie to zamiana czapy zielonej na czerwoną, albo przewiązanie się pasem słuckim czyni Sędziego z Hrabiego, Gerwazego z Protazego lub nawet pocziwego Wojskiego przerabia w tajemniczego Księdza Robaka — a

wszystko to „przepasane jakby wstęgą” słowami pamiętnej inwokacji „Litwo, Ojczyzno moja!”, mówionej z boku sceny przez Englerta bez emfazy, na tłuściku, jak pogłos, jak pamięć wracającego drogiego wspomnienia...

Tak przedstawia się scena na początku nowej, następnej po Danieł Bągielowskiego, inscenizacji „Pana Tadeusza”, wystawionej w sali teatralnej POSK-u w opracowaniu Englerta. Szkoda tylko, że zabrakło na początku starego zegara z kurantem, grającego Mazurka Dąbrowskiego, zwykłą wówczas piosenkę żołnierską, gdy Tadeusz, wracający do Soplicowa, „z dziecinna radością pociągnął za sznurek”. Ten drobny szczegół przecież od razu nadaje ton całości

Zdzisław Broncell
i określa stanowisko mieszkańców Soplicowa wobec nadchodzących wydarzeń.

Pięć aktorów z Polski odtworza w dialogu, w narracji, w krótkich scenach teatralnych, główny przebieg akcji poematu, będącego jednocześnie i wiejską, po trosze sielską a po trosze erotyczną sielanką, i narodowym dramatem. Wszystko to głównie dlatego, że „Pan Tadeusz” jest, poza wszystkim innym, doskonałą powieścią — w miarę realistyczną, w miarę tajemniczą i bawiącą, i wzruszającą, o czym świadczy, że tak dobrze się czyta w obcych językach, w przekładach prozą. Ukłoniśmy się, według obyczajów Podkomorzego, najpierw damom: bardzo znana warszawska aktorka teatralna, Anna Dymna, jest Telimeną; młoda i arcyńska w swej figurze, w wyrazie twarzy, Kasia Figura (nomen omen) jest Zosią jakby żywcem zstępującą z obrazka. Następnie sam Englert gra Hrabiego, a K. Kolberger — Pana Tadeusza, tylko pozornie bohatera powieści, której prawdziwym „dramatis persona” staje się z księgi na księgę Jacek Soplica. Jackiem jest M. Benoit, grający aż 8 ról, od Podkomorzego, poprzez Sędziego Soplicę, po końcowy występ Jankiela z koncertem na cymbałach.

Obawiam się, że ta wielostronność aktorska, dająca historyczną i obyczajową podbudowę do dwóch toczących się romansów, do miłosnych perypetii dwóch par, była czymś zbyt trudnym dla młodszej części publiczności, która tym razem tak wyjątkowo licznie dopisała. Trzeba bowiem naprawdę znać „Pana Tadeusza”, pamiętać jego akcję, szczegóły charakterystyki postaci, aby się bez pudła orientować w owych szybkich przemianach postaci jedna w drugą. Ale chociaż, wróciwszy do domu, zajrzeć może do książki — jeżeli ją w domu mają...

Piątka aktorów wpadła do Londynu na cztery szalenie wypełnione przedstawienia, po drodze w dalszy objazd, wiodący aż do Kanady. Nic nie szkodzi, że ta inscenizacja, ta odmienna próba próbie poprzedniej, po teatrze poetyckim Bągielowskiego w „Ognisku” (Teatr Polski ZASP, staraniem I. Delmar), bo Englert skupił się na odmiennym stronie poematu: zaznaczając dramat dal przede wszystkim komedię, podczas gdy Bągielowski rozwijał dramat. Jego bohaterem był Jacek, bohaterkami Englerta są dwie kobiety: Telimena i Zosia. Bągielowski przeprowadzał konsekwentną akcję dla nieznających dobrze poematu prowadził ciekawą udratyzowaną powieść; Englert wybierał malownicze, smakowite drobiazgi, wołał kobiety od mężczyzn, z akcji epickiej zachował tylko tyle, ile było konieczne. Bągielowski skończył właściwie na spowiedzi i śmierci Jacka, Englert cały czas dążył do

tryumfalnego koncertu Jankiela, do poloneza zgody i wolności narodowej, jako finału widowiska. Tak więc przedstawienie urządzone przez Święcicką stało się jakby dalszym ciągiem „Pana Tadeusza”, pokazanego przez Delmar.

I znowu: nic nie szkodzi! Kiedyś, przed wojną, Paul Cazin, znakomity tłumacz „Pana Tadeusza” zawitał do Warszawy. Drukowałem wtedy serię wywiadów z pisarzami, artystami, wzorowaną na znanym francuskim cyklu *Une Heure avec...* („Godzina z...”) I stąd spotkanie z Paul Cazin. Spotkałem francuskiego tłumacza arcydziela, co go najbardziej chwyciło w „Panu Tadeuszu”, co w tym polskim poemacie wyczuwał, jako ideę przewodnią. Cazin zadumał się i zaczął jakby głośno myśleć.

I mówić: — Bo ja wiem... może grzybobranie, może bigos, może polowanie na niedźwiedzia, kawa z kożuszkami, a może nawet i mrówki Telimeny...

Słowem: litewsko-polska codzienność. Tę właśnie codzienność, tę zwykłą, potoczną stronę „Pana Tadeusza” chciał Englert odtworzyć, przypomnieć, podać nam ten razowy chleb codzienny mickiewiczowskiej poezji. Wszyscy pamiętamy inwokację, początek Pierwszej i Dwunastej Księgi, zajazd, powstanie, wejście wojsk Księstwa Warszawskiego, ponowne zjednoczenie Litwy z Koroną. Ale kto pamięta, że na między „z rzadka ciche grusze siedzą”. A ileż w tym piękna, w tym jednym zdaniu! Kto zdaje sobie sprawę, że Sienkiewicz pomysł ślubowania Pana Podbięty ściecia trzech głów niewiernych jednym zamachnięciem miecza wziął właśnie z epizodu „Pana Tadeusza”, kiedy to Maciek swą ostrą Różgą rąbnął w trzy, wsuwające się przez okno, jegierskie kaszkiety?

Podczas przerwy jeden z widzów podszedł do mnie i zapytał: — Proszę pana, czy to wszystko naprawdę są słowa Mickiewicza? Tak oto się okazuje, że cudze chwalimy a swego nie znamy. Albo: po prostu — nie pamiętamy. Dobrze więc, że nam przypominano tak łatwo lekceważone piękności! Ileż w nich uroku i czarów! Czaru codziennego życia: Słowacki pisze jakby deklamował, Mickiewicz — jakby gawędził; Słowacki — jakby mówił z wyżyn Kapitolu, Mickiewicz — jakby list pisał. Wiciorz Bągielowskiego w „Ognisku”, to jest tak jak gdyby Mickiewicza czytał nam Słowacki, wiciorz Englerta w POSK-u — to jak gdyby Bolesław Prus odczytywał sobie „Pana Tadeusza”...

Czy wszystkie słowa są Mickiewiczowskie? Sądzę że tak, poza wykrzyknikiem Zosi „Nie!”, gdy staje się mimowolnym świadkiem romansu i klótni Tadeusza z Telimeną. A ileż w tych najzwyklejszych słowach trudu i popisu dla aktorów! Gotów jestem sądzić aktorkę choćby po tym, jak potrafi powiedzieć szczerze, skromnie wyznając miłosne Zosi: „Już, jeżeli kocham, to już chyba Pana”.

Wiele rzeczy powiedziano tego wieczoru bardzo pięknie, wiele też w sposób sporny, lub z dykcją przesadnie krzykliwą, akcentującą jedne słowa, a gubiąc inne. Nie mogę też przyjąć tonu żalostnego wspomnienia, gdy Englert mówił „O roku ów” i smutnego akcentu na „ja tylko jedną taką wiosnę miałem w życiu!” Cała przecież poprzedzająca strofa prowadzi do wzruszającego, pełnego uniesienia wyznania szczęścia: „tylko jedną taką wiosnę”. Zapisać by można całą stronę „Tygodnia” analizę tekstu i gry, ale, rzecz jasna, Redakcja nigdy mi na takie nudziarstwo nie pozwoli! Muszę jednak wspomnieć, że kiedy Benoit takim był sprawnym kameleonem, iż z minuty na minutę zmieniał swych ośmiu ról, to jednak zawiódł mnie „koncertem Jankiela”. Ale trzeba tu powiedzieć, że być może, jestem w swych oczekiwaniach i wymaganiach do gruntu zepsuty, bo przecież jako sztubak jeszcze usłyszałem Mieczysława Frenkla, młodego „koncert Jankiela” z estrady Filharmonii warszawskiej.

Można też mieć zastrzeżenia co do szczegółów reżyserii: wolalibyśmy przemyślnie szukanie mrówek na północznie Telimeny, coraz wyżej i wyżej, od Telimeny zakładającej nogi Tadeuszowi, niemal aż na szyję. Doskonała ośzczędność — co ważne w teatrze objazdowym, a jakże przy tym sugestywna oprawa sceniczna Tatiany Kwiatkowskiej. Dyskretny, zbyt dyskretny podkład muzyczny — można było pięknie wykorzystać polonezy Ogińskiego i Marii Szymanowskiej, i filomackie zapisy melodii litewskich, nagrywając je na taśmie magnetofonową.

Grupa Englerta miała wyjątkowo trudne zadanie. Każdy ma swą własną, prywatną, ukochaną wizję ulubionych postaci z literatury i lepiej jej nie porównywać z aktorską konkretyzacją. Przerabiano „Pana Tadeusza” na scenę, zrobiono nawet kulturalny film — wszystko zawodziło. To więc, że sceniczna wyobraźnia Englerta nie klóła się zbyt z naszą intymną wizją, że zgrzyt był bardzo rzadki, już jest dużym osiągnięciem. Największym zaś jest pozostawienie każdemu z widzów wrażenie, że „i ja tam byłem, miód i wino pilem”... Całkiem nawet dosłownie, bo po drugim przedstawieniu i aktorzy i widzowie poszli na Bal Emigracji — nie tylko więc Pan Tadeusz, ale i każdy miał sposobność zatańczenia z Telimeną czy Zosią... Na rzecz pomocy ukochanemu, ubogiemu krajowi...